

Stanisław LACHIEWICZ, ps. "Wicher",
"Krwawa Łuna", 27 WD AK

Hrubieszów 9 listopada 1991 r.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Nazywam się Stanisław Lachiewicz, urodzony w 1915 roku 12 lipca, zamieszkały obecnie w Hrubieszowie, ul. Listopadowa 17)30. W 1934 r. wstąpiłem do organizacji wojskowych: Strzelcy, Przysposobienie Wojskowe, Krakusy. Byłem na wielu kursach wojskowych. W 1938 r. zostałem powołany do służby czynnej, 27 Pułk we Włodzimierzu Wołyńskim. W tym samym roku byłem odełsany na Zaolzie. W 1939 r. ze służby czynnej powołano mnie na front. Na froncie byłem w Chojnicach, Świeciu, potem przez Bzurę, a 17 września dotarłem do Warszawy. Brałem udział w obronie Warszawy do kapitulacji 28 września 1939 r. W Łazienkach, gdzie złożyliśmy broń, zostałem zaprzysiężony przez kapitana Kostrzewę, że będę walczył w szeregach partyzanckich czy w ruchu oporu do ostatecznego zwycięstwa nad Niemcami. Po złożeniu broni zostałem wywieziony do obozu jenieckiego, do Prus Wschodnich, stalag nr 9. Po sześciu miesiącach, m.in. dwóch kolegów i ja uciekliśmy z obozu, przedostaliśmy się przez Bug w okolice Kowla, do swoich rodzinnych miejscowości, tj. ja do Torczyna, a koledzy do Kiwerc i do jeszcze innej miejscowości.

Kiedy znalazłem się w domu - a były to sowieckie rządy - przekonałem się o tym, że nie ma dla mnie tu miejsca więc uciekłem pod Lwów, do jednej takiej rodziny, która mnie przyjęła do 1941 r., do wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej. Wtedy wróciłem do Torczyna, gdzie zorientowałem się, że jest rozpoczęty terror przez bandy ukraińskie więc znowu musiałem uciekać z domu na placówkę samoobrony w okolice Przebraża-Hynin. Tam powstawały oddziały partyzanckie i samoobrony. Byłem tam do 1943 r., do grudnia. Wtedy to nasz komendant "Drzazga" został zabity przez partyzantkę rosyjską. Przysłali nam drugiego dowódcę oddziału, "Olgierda". Część naszych z tego oddziału uciekła przez panikę.

Z okolic Przebraża przedostaliśmy się przez Styr do powiatu kowelskiego, gdzie było więcej polskiej partyzantki. Stały tam bataliony "Jastrzębia", "Sokoła", "Trzaska". Dowódcą tych wszystkich oddziałów był "Kowal". Ja byłem w oddziale "Krwawa Łuna". Dlaczego "Krwawa"? Kiedy w dzień wigilii przyszliśmy do osady zwanej Kupiczów to wtedy ksiądz czeski, który był na wigilii polskiej dał nam nazwę "krwawa" na pamiątkę tego, że "skrwawiliśmy się" na trasie jaką przeszliśmy do Kowla.

Kiedy w styczniu 1944 r. powstała 27 dywizja AK wszyscy zostaliśmy ze swoich oddziałów wcieleni do niej. Zostaliśmy okrążeni przez Niemców w lasach strzeleckich, mosurskich, Nikitycze i przez dwa miesiące trwały tam walki do marca, kwietnia. Potem część dywizji przeszła przez Prypeć na drugą stronę. Każdy ratował się we własnym zakresie. Ja przedostałem się na Poraj, stamtąd do Lublina, gdzie wstąpiłem do konspiracji lubelskiej. Pracowałem u szefa wywiadu, który posługiwał się pseudonimem "Marian" do mojego aresztowania w październiku 1944 r., po którym zostałem wywieziony na Syberię. Pierwszy rzut to były Borowicze, na Wyżynach Wałdajskich, gdzie byłem przez półtora roku, po czym wywieziono mnie na Ural. Tam byłem do marca 1948 r. skąd wróciłem do Polski. Do 1953 r. ukrywałem się pod lewym nazwiskiem. W 1953 r. zostałem po raz drugi aresztowany przez NKWD w Lublinie i przez rok czasu chodziłem bez żadnych papierów. Po roku czasu zawezwano mnie i wydano już na właściwe nazwisko papiery. Wtedy rozpocząłem pracę w zakładzie energetycznym, gdzie przepracowałem 28 lat. Obecnie jestem na rencie.

Na Wołyniu mieszkałem w Wólce Sadowskiej. Była to czysto polska wieś. Nie było takiej wioski w okolicy, żeby nie mieszkali Ukraińcy. W naszej wiosce były wszystkie polskie organizacje:

Strzelec, PW, Koło Młodzieży Wiejskiej, Krakus, Związek Rezerwistów. Była to ruchliwa wioska w tym czasie. Powstała tutaj placówka samoobrony. Komendantem samoobrony w Wólce Sadowskiej był Drwalski, starszy wachmistrz 19 pułku ułanów z Ostroga. Natomiast jego zastępcą był Lachiewicz Józef w stopniu plutonowego z 27 Pułku Artylerii z Włodzimierza Woł. Do samoobrony należeli m.in.: Romanowski, Lipkowski, Kuźmiński, trzech braci Jasińskich. Byli uzbrojeni. Broń była jeszcze pozostałością z I wojny, bo to przede wszystkim byli osadnicy wojskowi.

Jeżeli chodzi o takie placówki samoobrony, jak: Zaturce, Lipnik, Antonówka, Torczyn (tu komendantem był Smoliński, starszy wachmistrz, też z 19 pułku ułanów, facet z I wojny światowej, później ranny w partyzantce, należał do 27 dywizji AK). Inni jak Perytytkiewicz (też uczestnik 27 dywizji, został ranny), Goleniewicz -bardzo dzielny facet, zmarł po odniesieniu ran.

Ukraińcy wymordowali około 70 osób w Wólce Sadowskiej. Między innymi mojego brata z żoną i trójką dzieci. Najstarszy syn został zastrzelony natomiast dwóm dziewczynkom powykręcali ręce. Pamiętam jak sześciomiesięcznego chłopaczka, którego matkę zabili po czterech dniach razem z bratem wydostaliśmy z rąk matki i przywieźliśmy do Torczyna, do szpitala. Dziecko żyło jeszcze dwa miesiące i zmarło.

Ukraińcy wymordowali wtedy Tuńskich, Korzeniowskich, Lipkowskich, Kuźmińskich (ginęli całymi rodzinami, po cztery i osiem osób). Ta Wólka Sadowska to była największa masakra na tym terenie. Była to czysto polska wioska, którą Ukraińcy całkowicie właściwie wymordowali, A ci, którzy uciekli to uciekali do Zaturzec, gdzie stali Niemcy, którzy trochę zaopiekowali się polskimi uciekinierami z takich wiosek jak: Granatów, Dębiny, Jasinówka, Chorochoryn i inne. Z Zaturzec część pojechało do większych miast, do Włodzi-

mierza Woł., do Łucka. Ci, którzy przedostali się do Łucka to byli ładowani do wagonów i wywożeni do Niemiec, m.in. moja rodzina została załadowana do wagonu i wywieziona. W Krasnymstawie tutejsza partyzantka, która dowiedziała się o tym, że w tych wagonach jadą sami Polacy i zorganizowała akcję. Wypuściła ich z wagonów, a ci rozsypali się po tych terenach, jak Krasnystaw, Hrubieszów, Zamość i tu doczekali się wyzwolenia.

Mord w Wólce Sadowskiej sprawił, że zostawiłem wszystko i poszedłem do oddziału partyzanckiego. Oddział "Krwawa Luna" stał w okolicach Przebraża, w Hyninie. Kiedy ja przyszedłem do niego, byłem szósty. Wiem, że jeden był "Paw", drugi "Szampan", trzeci "Kruk" czwarty "Maj". Nas przyszło wtenczas coś sześciu. To były początki tego batalionu, którego dowódcą był "Drzazga". Wyraźnie został zabity przez rosyjskie oddziały partyzanckie. On jako skoczek miał rozmaite szyfry. Im chodziło o to, żeby go zniszczyć. Wtedy razem z komendantem zginął doktor "Sławek". Po zastrzeleniu naszego dowódcy wiedzieliśmy, że tam nie ma dla nas miejsca, bo będziemy szykanowani przez rosyjskie oddziały, które były mocne. Niedaleko nas stał "Bomba", którego w tym czasie razem ze sztabem aresztowali i wywieźli do Rosji. Oderwał się wtedy tylko jeden "Gzyms" z kilkoma ludźmi i dołączył do naszego zgrupowania w powiecie kowelskim w miejscowości Kupiczów.

Kiedy przyszedłem do partyzantki początkowo byłem dowódcą drużyny. Pamiętam takich kilka pseudonimów: "Niedźwiedź", wiem, że zginął, był bardzo dzielny, "Udarny", "Słowik", też bardzo dzielny chłopak, który zginął, "Komar". Potem, gdy zostałem dowódcą plutonu, a było to wtenczas, jak wyszliśmy z Przebraża w pierwszym rzucie do Pańskiej Doliny. Tu nastąpiła reorganizacja, bo dołączyli do nas z Pańskiej Doliny tacy, jak "Wujek", Kucharski, ps. "Wrzos" i inni, głównie z dubieńskiego powiatu.

Po rozbiciu takich miejscowości, jak Wołczaki, Ossa, dowódca dywizji osobiście mnie zavezwał do Ossy - w tym czasie cały sztab stał w Ossach - i dał mi rozkaz, żebym poszedł na Lipnik i zorganizował wszystkich ludzi od 18 do 40 lat i zabrał do 27 Woł. dywizji bo zbliżał się front rosyjski, a część zostawić po tych placówkach. Trzeba było udowodnić Rosjanom, że my tych miejscowości broniliśmy do ostatniej chwili. Wtenczas ja przyprowadziłem coś ponad 80 ludzi m.in. poszedł Smóliński, Szatarski, Perytytkiewicz.

W 1944 r. dowódca naszej dywizji otrzymał rozkaz, żeby uderzyć na Włodzimierz Woł. z dwoma pułkami rosyjskimi, które zostały przetrzuczone, ażeby zdobyć Włodzimierz. Nasza 27 dywizja dołączyła się do tej akcji. Komendant "Krwawej Łuny", "Olgierd", dał mnie zarządzenie, abym ze swoimi ~~pułkami~~ plutonem poszedł na ochronę sztabu rosyjskiego. Powiedzieli, że to jest pułk. Biełow, który będzie prowadził uderzenie na Włodzimierz. Zameldowałem się u niego. Dał mi rozkaz, abym obserwował pewien odcinek. Natomiast nasze oddziały weszły do akcji. W tym czasie jego zastępca został ranny. Odprowadziły go sanitariuszki do Werby, a my przez cały dzień byliśmy w tej akcji. Od strony północnej nacierał dowódca "Trzask", od strony zachodniej nasz batalion, a od południowej "Gzyms". Zostaliśmy wtedy zmasakrowani. Z naszego batalionu zostało bardzo dużo rannych. Z tych, których pamiętam to: por. "Nałęcz" (miał dwa strzały przez płuca) "Ćwik" (został ranny w rękę) natomiast "Albin" stracił rękę. "Samson" został ranny, "Kula" (taki dzielny był chłopaczek, jeszcze w czapce gimnazjalnej) został zastrzelony na moich oczach. Był w moim plutonie. Obecnie por. "Nałęcz" i "Albin" żyją, a por. "Ćwik" zmarł. Zostało nas 9, w tym trzech zabitych, a sześciu ciężko rannych, których odwieziono do szpitala, do Kupiczowa.

Była taka umowa, że po zakończeniu akcji, w przypadku, gdy się powiedzie, mieliśmy przejść tym samym przyczółkiem, którym przeszedł

ten 104 i 105 pułk, na tyły rosyjskie. Kiedy całą dywizją dotarliśmy do tej miejscowości Rosjanie zaczęli nas ostrzeliwać. Chodziło im o to, abyśmy zostali w okrążeniu i byli pod ogniem niemieckim.

Różne były losy niedobitków z 27 WD AK po wyjściu z okrążenia. Jedni na własną rękę przedostawali się przez Bug, inni skorzystali ze zorganizowanych przerzutów. Po drugiej stronie starano się nawiązywać łączność z oddziałami partyzanckimi "Podkowy", "Ciąga" na terenie Horodła, Korytnicy, lasów czerniowieckich. Nam zorganizował przerzut por. "Kot". Dzięki niemu przedostaliśmy się przez Bug na tą stronę dużo rannych i takich, którzy podejmowali walkę, gdy zorganizował się batalion zastępczy w Szczebrzeszynie.

Część nas (20-osobowa grupa) przerzucili na przyjęcie zrzutu w lasach biłgorajskich, w Górecku KOścielnym. Ja także byłem w tym patrolu. Porucznik, potem awansowany do stopnia kapitana, "Arat" (był to skoczek), dalej por. "Gryf" z oddziału "Trzaska", poważnie ranny, który po wyjściu ze szpitala w Bończy dołączył do Szczebrzeszyna także tam byli. Tu w Szczebrzeszynie, po wyjściu z zrzutami mieliśmy dołączyć je do partyzantki "Jastrzębia" i "Sokoła" stojących w lasach lubartowskich. Sowieci nas okrążyli (także "Podkowę", "Ciąga" i wielu innych dowódców) i kazali złożyć broń. Mówili, że organizuje się 2 Armia na Majdanku więc możemy tam jechać i wstępować do armii polskiej. Jak się okazało bardzo dużo naszych kolegów zgłosiło się do niej. Po jakimś niedługim czasie zostali aresztowani. Ten sam los ich spotkał co i mnie, Syberia. A część pozostała w tej armii.

Kiedy przyjechaliśmy do Lublina było tam kilku naszych, m.in. ksiądz z Kowla Dąbrowski i jeszcze drugi, nazwiska nie pamiętam. Organizowali chętnych do powstania warszawskiego. Gdy doszliśmy do Otwocka otrzymaliśmy wiadomość, że zostaniemy aresztowani i wywiezieni w głąb Rosji. Spod Otwocka wróciliśmy znowu do Lublina. Przed-

dostawałem się z majorem "Aratem", kapitanem "Białym" i kapralem "Jaskółką" na pewien punkt w Bychawie. Kiedy w Bychawie zobaczył nas aptekarz w angielskich mundurach to wystraszył się i mówi do nas: "Panowie, co wy powariowaliście. Toż tutaj wszystkich aresztują, a wy jeszcze w angielskich mundurach i z angielskimi stenami chodzicie. Uciekajcie z apteki - chcieliśmy tutaj złapać jakiś kontakt - do kościoła". Przychodzimy więc do kościoła. Siedzi trzech księży, ale każdy oddzielnie. Podchodzimy do jednego, a on mówi: "Panowie, ja taki sam jestem. Wróciłem z partyzantki. Pójdziemy nałowić ryb, zrobimy kolację i razem do Lublina będziemy uciekać". Kiedy przyjechaliśmy do Lublina zgłosiliśmy się do jednego faceta, też z partyzantki, jakiegoś pilota Grabowskiego. Następnie zaszliśmy na Plac Bychawski do doktora Trejgla. Dwóch z nas tam zakwaterowało, "Gryf" i ja, a kapitan "Biały" i major "Arat" wyjechali do Warszawy. Kpt. "Biały" miał w okolicach Lublina żonę, do której pojechał. "Jaskółkę", który zachorował na tyfus odwiózł lekarz Tregiel do szpitala.

U tego doktora zostałem wcielony do służby u szefa wywiadu "Mariana" na takiego łącznika między inspektorami: puławski, chełmski, krasnystawski, hrubieszowski, Woziłem pieniądze, rozmaite łachy do Krasnegostawu. Lublin starał się zasilać i pomagać organizacjom akowskim w terenie. ~~W tym czasie u doktora Trejgla było aresztowanie~~
W Lublinie u doktora Trejgla pod numerem 54 zostałem aresztowany. W tym czasie kiedy to się stało żona szefa wywiadu przyniosła jakiś meldunek. Jak zobaczyła, że nas aresztowano połknęła ten meldunek i dopiero wtedy zaczęła do tych enkawudzistów, że ma dziecko, że musi do niego wrócić. Zwolnili ją. A do nas po ośmiu dniach aresztu domowego przyszło dwóch majorów rosyjskich, enkawudzistów i pytają czy takie nazwisko Kalinowski jest, bo ja byłem pod lewym nazwiskiem. Mówię, że jest. Wtedy on: "Sobirajties 'pójdziecie z nami". Pani doktorowa, która już nie żyje, pyta ich czy może nam dać ciepłą bieliz-

nę. "Nie, dlatego, że on zaraz wróci". "A czy śniadanie może zjeść?" Zezwolili mi to śniadanie zjeść, a mój kolega zostaje. Mnie jednego tylko wyprowadzają. Kiedy znaleźliśmy się na korytarzu wyjął spluwę ten major i mówi, że jeżeli będę uciekał to on strzeli. Mówię, że uciekać nie będę. Wychodzę z kamienicy na ul. Bychawską. Stał tam ich samochód a w nim dwóch Iwanów z automatami. Na środku samochodu była opona, na której siedział Wolski (był magistrem farmacji, znałem go osobiście, bo nieraz wysyłał mnie do niego pułkownik). Odezwałem się do niego, a wtedy jeden z enkawudzistów od razu do mnie po rosyjsku: "Job twoja mat' nie razgawariwaj bo budiem strielat'!". Zachąłem się ograniczać, bo chciałem mówić. Wolski, starszy człowiek prosił, aby się nie odzywać, bał się. Wozili nas po mieście przez jakiś dłuższy czas i wreszcie przywieźli na obóz południowy (był Majdanek, obóz południowy i Zamek). Kazali nam wysiąść i poprowadzili do łaźni. Majorowie pokwitowali odbiór nas dwóch. Przyprawdzili do łaźni, którą obsługiwali Niemcy i kazali się rozebrać do naga. Dali nam wody, no dosłownie na litr, w takich miednicach. Obcięli nam wszędzie włosy, jakimś płynem posmarowali - mówią, że dezynfekcja - i kazali ubierać się. Ja nie ubieram się. Dlaczego? "Dajcie mi moje ubranie - mówię - albo ~~jakkim~~ dajcie mi jakiś polski mundur to ja się ubiorę. Nie jestem Niemcem, abym w niemiecki mundur się ubierał." Zameldował to Niemiec Rosjaninowi. Ten przychodzi, jakaś starszina, a ja mówię, że za skarby świata się nie ubiorę. Zawołał oficera. Przychodzi oficer, który wmawia mi, że to ze względów higienicznych moje ubranie trzeba zdezynfekować. Więc ja na to, że ja tak postoję, a wy moje ubranie przeddezynfekujcie. Wzięli moje ubranie, zdezynfekowali. Wtedy ubrałem się.

Stamtąd prowadzą nas do takiego pokoju, gdzie siedzi dwóch majorów i dwie kobiety. Jeden z nich wstaje i mówi do Wolskiego: "Fryc, pojdi zdies' do stołu!". Wolski podchodzi w niemieckim mundurze, a

ten wstaje i uderza go w twarz po czym mówi do niego: "Skolko ty ubił ruskich?". Ten tłumaczy, że on był w aptece, że nie brał udziału w wojnie. Widzi to jedna z siedzących kobiet: "Tisze, tisze, pajditie do mnie". Podchodzi. Ona miała za zadanie pozdejmować zegarki, pierścionki i inną biżuterię co też i zrobiła. Druga Rosjanka prowadziła personalia, imię, nazwisko.

Ten major mówi z kolei do mnie: "Fryc!", że bym podszedł. Też podchodzę blisko do stołu, a ten podnosi się. A ja mówię do niego: "Jeżeli ty mnie uderzysz tak, jak tego starszego człowieka, to ja za siebie nie odpowiadam. Możesz mnie zastrzelić, ale nie bić mnie w twarz". A ten na to: "Nie nada ciebia bit'. Ty padachniesz tam, gdzie ty jediesz". Ja mówię: "Mogę padachnut', ale ty nie masz prawa mnie trącić". Stamtąd odprowadzili nas do furtki, każą nam znowu rozbierać się do naga, przepatrują te wszystkie rzeczy i dopiero wtedy każą nam się ubierać. Następnie doprowadzają nas do wagonów, tylko dwóch.

Kiedy otworzyły się drzwi wagonów był tam tylko jeden jęk. To była 15-ka, wagon bydłocy, gdzie było 96 osób, jedna przy drugiej. Nie było nawet żadnej możliwości, aby usiąść. W rogu była taka rura żelazna, gdzie tam oni się załatwiali. Pamiętam jak dzisiaj zachód słońca w Lublinie. Rusza ten transport. Ja dojeżdżając do mostu, który przechodził na trasie Lublin-Chełm, gdzieś zdarłem kartkę i napisałem na niej, że ten kto tę kartkę znajdzie, żeby doręczył ją pod ten adres, gdzie zostałem aresztowany. Kartkę wyrzuciłem przez szparę bo to nie był szczelny wagon. A z jednej i drugiej strony wagonu były takie zrobione wyszki, na których siedziała straż. Po powrocie z Syberii, kiedy przyjechałem do państwa doktorów, pani doktorowa wyjęła tę kartkę i dała mi ją do ręki. Znalazł się ktoś uczciwy co tę kartkę znalazł i doręczył.

Dojechaliśmy do Brześcia. Tam kredą piszą po wagonach: "To są bandyci, którzy zabijali nasze dzieci, to są faszyści, Niemcy". Na każdej stacji rzucono w nas kamieniami, w te wagony. Gdy przyjechaliśmy do Borowicz, wysadzili nas z wagonów i kazali po pięciu siadać na ziemi. Tam już był śnieg. A oni nas przeliczali, odbierali. Trwało to najmniej trzy godziny, bo liczyć nie umieli, wciąż coś się nie zgadzało. A kiedy kazali nam już wstać to 50 procent było już zamarzniętych. Poza tym ci, do których nas dołączyli wtedy w obozie południowym to już ze dwa tygodnie siedzieli w wagonach. Spod Warszawy i rozmaitych stron Polski łak zbierali i dołączali.

Po 99 dniach podróży przyprowadzili nas do obozu. Na dziesięciu przypadało drewniane kubło "szczerej" pszenicy i zielona woda. Tak nas karmiono przez jakieś dwa tygodnie. Dopiero później zaczęli podwozić kapustę "szczy". Przez trzy i pół roku nie wiedziałem co to jest mięso, mleko, czosnek, cebula. Szczera woda zasypana mąką, taka zawieszista, albo kapusta.

Zorganizowano wyprawę do lasu po drzewo. Ponad tysiąc ludzi, a w lesie mieszkamy, nie ma wody, klamki u drzwi były zamarznięte. Ludzie oblizywali śnieg, to znowu zamarzało i krzyczeli wody. Między innymi wśród tych co poszli po drzewo był skoczek Burzykowski i Górka. Zostali zrzućeni na powstanie warszawskie. Rozglądali się po lesie jakie drzewo na kogo wsadzić. Cztery samochody by tego d drzewa więcej przywieźli, co my go przynieśli. Tych enkawudzistów to było pewnie z 50 i tyle samo psów. Była to celowa robota, żeby nas wymordować. Jeżeli ktoś wyglądał na inteligentniejszego to na niego grubsze drzewo wkładano, a jeżeli miał chłopski wygląd to dostawał cieńsze drzewo. ^{ki}.in. ja też widocznie wyglądałem na prostaka, bo dali mi mniejsze drzewo, a że byłem zaprawiony z młodych lat to nie odczuwałem ciężaru.

Chciałem uratować Burzykowskiego i przyjąć to grubsze drzewo

na siebie, a jemu dać moje, cieńsze. Wtedy podjeżdża Kozak na koniu i mówi: "Job twoja mat' to ty zaszczyszczajesz pamieszczikow" i mnie pałą. Kazał oddać z powrotem grubsze drzewo, a mnie wziąć swoje. Poszedł jeszcze pół kilometra, a to było 30 km przy 30-tu kilku stopniach mrozu i padł. Tego, który w trakcie tego marszu padł podjechał enkawudzista i strzelił obok jego głowy w śnieg, a ten się nie poruszył. Wtedy rzucili go na samochód. Gdyby się poruszył to jeszcze kazaliby mu iść dalej.

Wcześniej rozmawiałem z lekarzem z Warszawy, który powiedział mi, że jest tu inżynier Jóźwikowski, który pracował w fabryce, prawdopodobnie Krupa, że to jest bardzo wartościowy człowiek. My wszyscy możemy poginać, ale on ma wrócić do Polski. Kiedy po dobie czasu wróciliśmy z lasu do obozu wystawiono nam zupę. Ja byłem tam trochę takim brygadzystą i tę zupę rozdawałem. To nie były menażki, ale puszki po amerykańskim maśle. Pamiętam o tym wartościowym człowieku i podałem mu, po dogadaniu się z szefem kuchni, dwie puszki kapusty. Zaraz po tej zupie jego i co najmniej 30 osób zabrano na szpital. Jaki to był szpital? W podziemiu, wilgoć, trzypiętrowe łóżka. Przyszedłem. Jest doktor Dzięciołowski. Mówię, że przyniosłem tym, którzy tam leżeli po 10 deko chleba. Chodziło mi przeważnie o tego Jóźwikowskiego. A lekarz na to: "Panie, on już dawno nie żyje, trzy godziny temu zmarł". Przychodzę, patrzę, młody człowiek, może ze 40 lat, same kości z niego zostały.

70 osób dziennie umierało. A jakie było chowanie. W jesieni kopali dół, do którego całą zimę wrzucali zwłoki, z których część była wyciągana przez zwierzynę, a część pozostawała. Dopiero, jak śniegi zginęły to przysypywali te kości ziemią. Jeden mój kolega w Warszawie prowadzi dochodzenia. Coś ponad 300 osób ma ustalonych.

Kiedy przyjechaliśmy na Ural - bo początkowo byliśmy w nowogródzkiej obłasti, na Wyżynach Wałdajskich - nasz komendant obozu

dogadał się z nadleśnictwem, ażeby zorganizować nas w brygady na wycinkę lasu. Zrobili mnie brygadzystą. Dali mi 70 ludzi do tego lasu. Poszliśmy pod konwojem enkawudzistów. Przyjechał nadleśniczy i pyta, jak to zrobić, żeby wydajność pracy była większa. Trzeba dać ludziom zupy i zwolnić ze straży enkawudzistów. Ci nie dają się w ogóle ruszyć. On załatwił, że konwojowali nas dwaj cywile. Byli to białogwardziści, z którymi doszliśmy do wspólnego języka. Oni tak samo byli szykanowani, jak i my po tej rewolucji październikowej.

Było u nas trzech skoczków, pilotów - dwóch oficerów i starszy sierżant. Mieli zakaz opuszczania obozu. Podchodzą do mnie i tak mówią: "Panie Kalinowski czy można byłoby tak zrobić, żeby pan nas wziął do swojej brygady, a my będziemy uciekać na Finlandię". Ja mówię, że proszę bardzo. Wyraziłem zgodę. Mieli do mnie zaufanie. A masę szpicli było w naszym obozie. Znałem ich wszystkich, mogę podać ich nazwiska. Z tymi oficerami umówiłem się w ten sposób, że abym ja był kryty to dopiero po jakiejś godzinie, dwóch miałem zameldować straży cywilnej, że brak trzech ludzi. A ci w tym czasie uciekną. Minęło ze dwie godziny. Podchodzę do tych "diadków" co nas pilnowali i mówię: "Zasypkin, mnie brak trzech ludzi". "Szto tam?" Nie wiedział co robić. Był odpowiedzialny za tych ludzi. "Dawaj zbiórkę!". Zrobiliśmy zbiórkę, przeliczamy, brak trzech o czym ja dobrze wiedziałem. A on mówi do mnie: "Co się mogło z nimi stać?". Ja na to, że nie będą uciekać, bo nie mają siły, może poszli gdzieś do lasu, zabłądzili. "Masz wintowku - bo to byli sami starsi ludzie i nie mieli siły strzelać - i strzelaj w górę. Może oni usłyszą i przyjdą". Strzeliłem ze dwa razy, przypomniały mi się partyzanckie czasy, ale ich nie ma. Dawaj dwóch do obozu, żeby powiadomić, że nie ma trzech ludzi. Wysłałem górala, był najsprytniejszy. Do obozu było ze 12 kilometrów. Najechało się enkawudzistów z psami, przeliczyli nas. Następnie do obozu. W obozie mnie jako brygadzystę

rozebrali do naga, poza obozem, gdzie stacjonowało NKWD. Mieli tam karcer, do którego mnie wsadzili. Ze Świerdłowska przyjechał jakiś pułkownik, zaczęli mnie badać, że ja byłem w porozumieniu z uciekinierami, że oni pojedą do Anglii, tam dadzą znać, że my tu siedzimy. Siedziałem z półtora dnia. Ciemno, po ścianie spływała woda. Dopiero jak wyszedłem z karceru dowiedziałem się, że byłem więziony. Po upływie półtora dnia przynoszą mi jedzenie. Ja nie biorę jedzenia. Tu w Rosji spotkałem jednego z naszych, który był moim przewodnikiem z Poraju do lasów biłgorajskich, po szkole oficerskiej w Bończy. Nazywał się Zbyszek Czerwiński. Jak się dowiedział o tym, że ja siedzę w tym karcerze, to on przez jakiś otwór w ścianie przepuścił węża, przez który karmił mnie zupą nawet lepszą niż ta obozowa, bo jedli ją enkawudziści. Po raz pierwszy w obozie poczułem smak zupy. Ja siedzę trzy dni i nie biorę zupy, którą przynoszą mi codziennie. Po trzech dniach przychodzi lejtnant z naszym brygadzystą i pytają czemu nie chcę jeść. Ja na to, że kiedy badał mnie ten pułkownik ze Świerdłowska to on powiedział, że ja będę siedział tutaj aż "padochnę". w tym karcerze. Jeśli tak, to nie będę jadł, posiedzę tę parę dni i zakończę życie. Na czwarty dzień raniutko wypuszczają mnie z karceru. Przycho-
dzę na wachtę. Tu komendant tego obozu mówi, że ja powrócę do Polski, ale jemu grozi co najmniej 5 lat zsyłki za to, że nielegalnie dogadał się z nadleśnictwem o pracowników z naszego obozu.

Kiedy przyszedłem do obozu adwokat ze Lwowa Paradysz zorientował się, że moja głodówka swoje zrobiła, wzywa por. Wosia, por. Babinicza i kilka innych osobistości i robimy głodówkę. Wypisuje ultimatum, że od jutra głodówka i żąda od władz obozowych zaprzestania bicia, aby można było powiadomić swoje rodziny o tym, że tutaj siedzimy, jeżeli jesteśmy winni to powinien być sąd, a nie tak przez 3 i pół roku trzymać nas bez niego i dopominamy się z

ambasady przedstawiciele władz polskich. Wszystko nam obiecali z wyjątkiem przywiezienia kogoś z ambasady. My na to, że głodówka. Na czwarty dzień, kiedy zobaczyli, że ludzie już nie wstają, a ci, którzy chcieli iść do kuchni to my ich kijami przepędzali z powrotem na barak. Dopiero wtedy przyjechał z ambasady m.in. Wycech, dwóch majorów i dwie kobiety, którzy powiedzieli, że nic o tym nie wiedzieli, że my tu jesteśmy. Zagwarantowali nam, że po pół roku wrócimy do Polski, że poprawi się wyżywienie, że będzie można pisać do domu itp. Słowa dotrzymani. Jeszcze w to nie wierzyliśmy, że wracamy. Po pół roku przyjechaliśmy do Białej Podlaski. Tu odbyliśmy kwarantannę i rozpuścili nas do domów.

A oto lista osób, z którymi byłem w obozie na Syberii. Dosimintowski - lekarz; Pastwa - lekarz, Hornowski - lekarz, który obecnie jeszcze żyje, mieszka w Warszawie; Frydrychow~~ski~~ - lekarz wojskowy; Dzieciołowski - lekarz, Woźniak - lekarz; skoczek - kpt. Górka, kpt. Borzykowski - skoczek, Woś - oficer, Babinicz - oficer, Skwarżyński, Pożański, Ślusarski - oficer, Jaworowski - prawdopodobnie jakiś dzidziec; Pilcher - oficer, Sajuk - inżynier leśnik; Mańko - po wyższych studiach z Lublina; Smoliński Jan - inżynier rolnik z Warszawy; Banderowski Władysław - przed wojną pracował w wywiadzie, podoficer zawodowy; Szczudłowski - inżynier ze Lwowa; Szczepański - inżynier ze Lwowa; Załuski - hrabia, Przyłuski, hrabia Lubomirski; Jodłowski - ze Lwowa, po wyższych studiach; Tatowicz Poldek, Beniowski Cyryl - był z 27 Woł. dywizji AK, Skowroński, Kiliszczuk - w Rosji był cały czas, przedtem prowadził tam jakąś polską organizację, w czasie II wojny przyjechał do Krasnegostawu, był sekretarzem PPR, został aresztowany, siedział razem z nami na Syberii; Russała, Mucha, Topolnicki, Dziekański, Jodłowski, Kozłowski - szpicel z Lublina; Duszyński, Brydak, Turzański, Watorski, Zajączkowski - pracował w Warszawie przy filmach, Zwoliński - nad-

leśniczy; Kornyluk - ksiądz z Białej Podlaski; Kałamarz, Markowski - obaj ze Lwowa, Dąbrowski - z Wilna, Bogowski Albin - z Horodła; Jachułkowski, Przesmycki, Żaba, Grabowski, Czerwiński Zbyszek - mój przewodnik z Poraju do lasów biłgorajskich, niedawno nagle zmarł; Berbecki - lekarz weterynarii; mjr Broniewicz ze Lwowa; Stawirowski - pułkownik; Kucharski z synem Józefem z Lublina, Królikowski - kapitan; Końko, Kulik, Dębicki, Lewczyński, Bieniak Stanisław z Rzeszowa; Grzesiuk, Wysocki - młody chłopak, zastrzelony w lesie, był w tej brygadzie, w której ciąłem drzewo, przekroczył pas, granicę, żeby podnieść grzyba i wtedy go zastrzelono; Szczygieł, Karchuta, Syc, Pukała, Rogalski, Rogalska z Rzeszowa (to jedyna kobieta, którą pamiętam z nazwiska); Podrygalski, Szymański, Kurzępa - kapitan z Rzeszowa; Rumuński, Białek, Czerski, Tuchowski, Jędruszczak, Lewski, Seweryn Gołębiowski, Buczek, Waśkowski - kapitan; Zatorski, Jerzy Górski z Lublina; Zbigniew Fijałkowski, Wacław Filłks z Lublina; Onyszko Jan, Bilikiewicz Ireneusz, Raczkowski Tadeusz.